

O (bez)celowości przeznaczenia. Studium (nie)przypadku

KINGA OKROJ

Znaczna część ludzkiego życia przebiega oczywiście według istniejącego wzorca. Rodzimy się jako mężczyzna albo kobieta, jako biały człowiek albo Chinka, w tym miejscu a nie w innym, w tej rodzinie a nie w innej. To jest ustalony wzorec, ale istnieje również pewien margines wolności. Gdyby było inaczej, trzeba by było skończyć z terapią i powiedzieć, że ludzie muszą wypełnić swoje przeznaczenie, i że nic nie da się zrobić. Poprzez odczytywanie tego wzorca, poprzez uświadamianie go sobie, poprzez interpretowanie snów nie możemy uniknąć swojego losu, ale możemy nadać mu bardziej pozytywne znaczenie. (...) Możemy więc powiedzieć, że chociaż istnieje pewne przeznaczenie, nie jest ono jednak absolutne.

M. von Franz, *Ścieżki snów*¹

Pytanie o przeznaczenie i sens ludzkiego życia towarzyszyło mi, odkąd pamiętam. Chyba po prostu moje życie prowokowało do tego typu rozmyślań już od najmłodszych lat. Kiedy miałam sześć lat umarł mój kuzyn. Byliśmy w tym samym wieku. Chociaż od tego wydarzenia minęło 19 lat pamiętam jak dzisiaj jaka to była dla mnie trauma. Byłam dzieckiem, a musiałam zmierzyć się ze śmiercią mojego najlepszego przyjaciela, z którym dorastałam, który był dla mnie jak brat. Wtedy zaczęłam się zastanawiać „dlaczego?”, „dlaczego on musiał odejść?”. Z wiekiem do moich rozmyślań dochodziło coraz więcej aspektów. Zawsze jednak miałam z tyłu głowy pytanie o to, dlaczego spotykamy akurat tych ludzi, a nie innych? Dlaczego z jednymi tworzymy relacje na całe życie, a innych opuszczamy, bądź oni opuszczają nas? Czy to, co nas spotyka ma w ogóle jakiś sens? A może jest to z góry ustalony wzorec, przeznaczenie? Czy w takim razie to oznacza, że determinuje nas jakaś wyższa siła?

Ostatnio oglądając film w telewizji moją uwagę przykuła pewna myśl: „Przeznaczenie to przywilej szczęściarzy. Tego, co złe nikt nie nazywa przeznaczeniem”. Zaczęłam się nad tym głęboko zastanawiać. Dlaczego jedna osoba pięć razy z rzędu odnosi porażkę, a za szóstym sukces? A druga odwrotnie – ma na koncie same wzloty, a nagle upada? Przypadek czy przeznaczenie? Te pytania sprowokowały kolejne: może pewne rzeczy (a może wszystkie?) są nam po prostu pisane, ale to od nas zależy jak na nie zareagujemy i co z nimi zrobimy? Oczywiście istnieją pewne wzorce, która nas determinują, takie jak płeć, czasy w jakich żyjemy, rodzina, miejsce urodzenia, jednak poza tym, co jest nam z góry dane istnieje coś jeszcze, jakiś margines nieznanego i niezbadanego, z którym możemy zrobić co tylko zechcemy, który należy do nas. Co więcej, jest to coś, co nie zostaje nam dane przez przypadek, przeciwnie jest to coś, nad czym możemy i powinniśmy pracować, w czym tkwi nasza potencjalna siła. I piszę to z pełną świadomością, mając na uwadze też życiowe porażki i „to, co złe”.

Kiedyś sądziłam, że wszystko co się dzieje, jest dziełem przypadku, a co za tym idzie – że nie mogę nic zrobić z tym, co mnie spotyka, że nie nie poradzę więc po co się starać. Natomiast w pełni świadomie zaczęłam się zastanawiać nad przeznaczeniem i nad tym, czy coś nas determinuje mając 19 lat. Właśnie wtedy nie dostałam się na wymarzoną filologię angielską. Przykry scenariusz jak na początek dorosłego życia i samodzielnych decyzji. Jednak właśnie to wydarzenie

sprowokowało cały kalejdoskop kolejnych zmian w moim życiu. Poczynając od nieustnych pytań o cel, aż po próbę samodzielnego wyjaśnienia sobie spadających na mnie wciąż porażek. To był właśnie ten moment graniczny, który wszystko zmienił. Moje „ja” przed maturą i po. Nie przesadzę, jeśli powiem, że przeszłam osobisty dramat, kiedy nie dostałam się na wymarzone studia. Wcześniej w szkole byłam bardzo dobrą uczennicą, ale nigdy nie należałam do grupki popularnych w szkole dzieciaków. Przeciwnie – zawsze byłam wyśmiewana, a to dlatego, że byłam pulchnym dzieckiem, a to dlatego, że ktoś mnie nie lubił i wciąż dokuczał, a ja się broniłam, to jeszcze z innego powodu... W szkole dorastałam właśnie z takim wzorcem na plecach, a nie dostanie się na wymarzone studia pogłębiło tylko mój smutek, rozczarowanie i poczucie wyobcowania. Czuję się po prostu głupia, myślałam, że ci wszyscy ludzie mieli rację, że tak ze mnie drwili. Przez całe życie zastanawiałam się: „dlaczego?! Dlaczego tak mi w życiu nie idzie? dlaczego nie mam przyjaciół? Dlaczego jestem gruba? Dlaczego jestem wyśmiewana?”. Gdzieś z tyłu głowy od zawsze miałam pytanie o sens tego wszystkiego. Czy on w ogóle gdzieś się kryje? Dlaczego poznaję akurat tych ludzi a nie innych? Dlaczego wybrałam akurat liceum w Rumii, a nie Wejherowie, gdzie mieszkam? Wtedy jeszcze sądziłam, że to wszystko spada na mnie ot tak po prostu. I tak po prostu biernie to przyjmowałam, godziłam się z własnymi niepowodzeniami, ale w środku coś we mnie krzychało.

Kiedy ostatecznie przełknęłam porażkę, postanowiłam podjąć studia na kierunku filologia rosyjska. Było to z mojej strony coś w rodzaju żartu. Na początku cała sprawa bardzo mnie bawiła – nowe literki, znaczki, słówka, wykłady. Niestety, bardzo szybko zniechęciłam się do tych studiów. Znowu spotykałam ludzi, którzy tylko podcinali mi skrzydła. I znowu wróciło nurtujące mnie pytanie o sens i przeznaczenie. I okazało się, że wśród plejady ludzi, którzy potrafili tylko wytykać mi błędy spotkałam dwie osoby, które we mnie uwierzyły. Jedna z nich jest do dzisiaj moją inspiracją i mentorem. I to dzięki niej jestem dzisiaj tutaj, gdzie jestem. Dzięki niej zaczęłam głęboko wierzyć, że cała ta droga miała doprowadzić mnie właśnie do tego miejsca, w którym jestem obecnie. I wiem, że nie spotkałam tej osoby przez przypadek. Ja musiałam ją poznać. I to musiało stać się dokładnie tak, jak się stało. Podczas zajęć usłyszałam: „jeśli z góry założycie i powiecie sobie, że nie zrozumiecie, to



nie zrozumiecie. Musicie się otworzyć na to, co utwór chce przekazać”. Takie proste, a takie głębokie. I co ważniejsze – nie odnoszące się jedynie do literatury. To było coś, co zaczęło mnie kształtować. Teraz wierzę, że musiałam poznać całą masę ludzi, żeby trafić na tę jedną właściwą, która zainspirowała mnie do walki o siebie i swoje marzenia, która swoją wiarą we mnie sprawiła, że ja sama w siebie uwierzyłam. Zrozumiałam także swój błąd – ja z góry zakładałam, że nie stać mnie na nic dobrego, że nie mam prawa walczyć o swoje. A potem uwierzyłam, że mogę i udowodniłam sobie, że tak rzeczywiście jest.

Teraz, kiedy od tych wydarzeń minęło kilka lat, jestem pewna jednego – to, co się dzieje, dzieje się po coś, w konkretnym czasie, w konkretnym miejscu, z konkretnymi ludźmi. I chociaż tego nie rozumiemy, ma to jakiś sens. Z pozoru przypadkowe spotkanie może naprawdę zmienić wiele w naszym życiu. Może zmienić i całe życie. Tak było w moim przypadku. Kierunek, którego nie chciałam studiować, a mimo to podjęłam. I okazało się, że tego właśnie cały czas szukałam. Swojego miejsca i osoby, która uświadomi mi, że nie ma rzeczy albo białych, albo czarnych, że nie ma paradoksu w mieszanu dobrego i złego, czarnego i białego, że od nas zależy jak na to reagujemy i co robimy z tym, co nas spotyka. Spóźniłam się na tramwaj? Ok, w takim razie tak miało być, może akurat spotkam dawno niewidzianą krewną, może uniknę wypadku, a może nic się nie wydarzy. Nie wygrałam konkursu? Porażka boli, ale dzięki niej mogę docenić każdy jeden raz, kiedy mi się udało oraz wyciągnąć wnioski na przyszłość, spróbować jeszcze raz bogatsza o nowe doświadczenia i wiedzę.

Często mamy do czynienia z sytuacjami, które wydają nam się po prostu bezsensowne. Ale ja wierzę, że to wszystko ma jakiś sens i dzieje się po coś. Czasami bardzo prozaiczny, ale ma sens. Teraz wierzę, że musiałam przejść przez nieudane, fałszywe przyjaźnie, aby docenić tych ludzi, którzy są dla mnie zawsze, na których mogę polegać. To wszystko musiało się stać, abym w pełni świadomie doceniała szczęście, jakie mnie spotyka, ludzi, którzy otaczają mnie na co dzień. Co więcej – żeby nie przestała obwiniać innych o moje porażki i moje życiowe wybory. Zrozumiałam, że to, jak wygląda moje życie jest wynikiem moich wyborów i mojego nastawienia. I że to ja jestem jedyną osobą, która może je zmienić. Zrozumiałam, że dostając z góry jakiś szkielec schematu – wydarzenia, sytuacje i ludzi. I muszę to po swojemu poukładać jak puzzle, muszę

Rozważania przy kawie. „Ptaki” Czesława Miłosza

EMILIA WIELICZKO

Co dzień o piątej rano wstaje, by jeszcze przed pobudką moich dzieci móc chwilę porozmawiać z własnymi myślami, przy świeżo zaparzonej kawie czytam i myślę...

Dziwna to wędrówka. Dziwny pejzaż. „Uczeń marzenia” schodzi z gór, ale „Piana białą wre morze”. Przychodzi z krainy, w której pozbawione są swej wagi takie ludzkie sprawy, jak „pragnienie, sen, miłość”; ciało nie podlega prawu ciężenia; kamienie cementarne nie tak ciężko i nicodwoalnie przypieczetowują ludzką śmierć, ich biel zaś unieważnia czerń żałobnego kiru. Przychodzi z krainy technienia wiatru i swobody. Przychodzi z krainy marzenia „na północne kraje”, gdzie biel kojarzy się z lodem pokrytym śniegiem, a mroźny wiatr potwierdza martwicę kamieni. Wyrzucony przez kolejny przypływ, którego gwałtowność naznaczona jest pianą, wkracza w przestrzeń ziemskich cierni, przepaści, „lodowej cysterny”. Przychodzi na sąd. Niesie w sobie ogień i „chce wody żywej”. Wkracza w przestrzeń spełnionej apokalipsy, przestrzeń popiołów, uczuciowego chłodu i nicości. Niepewny swej tożsamości i pełen poczucia obocości schodzi w świat, który nic nie wie o zagładzie. Schodzi do ziemi Ulro.

Wędrowiec wkracza do krainy, w której czas wybijany jest tępo niczym „krok tauryjskich wołów”; w której kolejne dni i noce znaczone są milczeniem i pustką. Mieszkańcy krainy oszołomieni śpią nie dostrzegając spalonych ziemi. Być może także kiedyś wyrzuceni zostali na brzeg z lekkiej przestrzeni marzeń, lecz dawno o tym zapomnieli pijając się nieustannie „kwaśnym winem” życia będącego źródłem niezdrowych czerwonych wypieków. Swoją byt śnią teraz „rzędem nad brzegami” w krainie zimnego szczęścia. On jeden jedyny nosi w sobie pamięć altany i schronu „z chmur lekkich”.

„Czym jestem, czym ja jestem i czym oni są?” – zadaje to pierwsze i podstawowe pytanie o byt swój i świat. Pytanie, od którego rozpoczyna się prawdziwe istnienie. I tak jak wielu przed i wielu po nim odpowiedziało mu

to przepracować. I co więcej – mogę się tym cieszyć.

Wszystko, co powyżej napisałam nie oznacza oczywiście, że kwestia przeznaczenia i celowości została dla mnie na zawsze wyjaśniona. Absolutnie nie. Gdyby tak było, musiałabym przestać żyć. Życie to dla mnie nieustanny ruch, wciąż coś się zmienia, lawiruje. Jednak to, co do tej pory przeżyłam pozwala mi wierzyć, że wydarzenia, które jeszcze mnie w życiu spotkają też będą miały jakiś sens. I pisząc teraz tę pracę, chce sama sobie przypomnieć o tym, że pewne rzeczy wymagają czasu, a ja powinnam nauczyć się cierpliwości. Nie wszystko możemy ogarnąć wzrokiem od razu. Na pewne rzeczy trzeba zwyczajnie poczekać. I zawsze warto jest czekać. Ważne jest, że to, co się wydarzyło, wydarzyło się właśnie wtedy i właśnie tak i właśnie po coś.

¹ M. von Franz, *Ścieżki snów*, tłum. H. Smagacz, Warszawa 1995, s. 236.

milczenie – „długie, długie” – będąc źródłem nicogarnionego bólu i pragnienia mającego moc Boskiego stwarzania. Lecz czy porażone głodem serce ludzkie ma tę samą siłę? Bo to przecież tylko „jakby” – to tylko człowiek wobec rozdzierającego go gwaru i skwiru. To on nosi w sobie białe jary, z których dochodzi budzący głos dzwoneczków „kuglarza”, który być może bawi się ludzką niepewnością, bólem i śmieje się z człowieczej uzurpacji do mocy stworzenia. Magik ludzki obrazami świata, wyobrażeniami, uczuciami, które uznać można za własne, wierząc, że nosi się w sobie pamięć Boskiej przestrzeni raju. A gdy się już uwierzy, subtelny i niknący odgłos dzwoneczków podlega nieświadomej przemianie w „dźwięk przerażenia” trąbki. Niepostrzeżenie kuglarz staje się trębaczem ogłaszającym przebudzenie.

Ból w obliczu milczenia, porażający głód serca budzą wewnątrz ziemi, lądy nie odkryte pełne nieokreślonych postaci, krążących podróżników, pielgrzymów szukających tej ziemi jedynej – obiecanej. I trzeba im nadać „twarz ludzi”, stworzyć tożsamość, nazwać, by stali się na miarę człowieka, by można ich było ogarnąć. Wszystko po to, by poczuć się swojsko, u siebie, by zapanować nad kuglarską przestrzenią koszmarnego magii. A przecież to nie twarze „osób”, „to są ptaki” spoczywające spokojnie w gniazdach do czasu strasznego przebudzenia. Być może każdy je w sobie nosi, lecz „upici kwaśnym winem” nie słyszą rozpaczliwej pobudki trębacza.

Rozszalały się ptaki dotąd drzemiące spokojnie w gniazdach, ptaki, których ojczyzną „wielkie wszystko” i pełne są żalu do dziecka ubogiego czasu o tę pobudkę przedwczesną, o tę pychę, która wyrosła z uzurpacji do stanowienia świata. Niedobre dziecko. Z wszystkiego czego dotknęła swą nieszczęsną zranioną dłoń uchodzi życie i zaczyna błyszczyć sztucznym blaskiem sztuki; roni z siebie martwe i nietrawne karykatury, których źródłem – nocne koszmarny. Nie lepiej było bez niepotrzebnej wzniosłości zasnąć „nad brzegami” jak inni i pozwolić drzemiącym patkom oczekiwać „chwili, kiedy On rozdzieli [...] ubogi czas i wielkie wszystko”.

Kim są te ptaki o ludzkich twarzach, do których zbudzenia prowokują „dzwoneczki kuglarza”? „Kto mnie wspomina”? – kolejne pytanie zadaje wędrowiec. I pyta z żalem, mając świadomość trudnej gorczy poszukiwań, samotności gorzącej duszy odciętej od świata, karmiącej się nadzieją pierwszych olśnieni, które były wezwaniem do pielgrzymki. Lecz ma jednocześnie świadomość, że powrotu do krainy życia dobrego i jasnego nie ma – pamięć tylko zachowuje ślad tego ładu przypominając o wydziedziczeniu: „mówiłem: powrócę, choć powrotu nie ma”. A pamięć to nieczywła, bo jest źródłem przypomnienia; pozwala dostrzec wieczność prześwitującą przez rzeczywistość.